

Artysta jest po trochu heretykiem

Krzysztof Polkowski

Z Krzysztofem Polkowskim rozmawiali Łukasz Ratajczyk i Karolina Walczak.

Łukasz Ratajczyk: Pierwsze pytanie, które mamy do Pana zabrzmi być może kontrowersyjnie: Czy wierzy Pan w Boga? Szukając w Internecie informacji o Panu znaleźliśmy listę ateistów i agnostyków na portalu racjonalista.pl. Jest tam Pan zapisany jako agnostyk. Bardzo nas to zainteresowało.

Krzysztof Polkowski: Myślę, że jestem bliski agnostycyzmowi, mimo, że uprawiam sztukę, która dotyczy jakby cały czas problemów sacrum i profanum. Mam taką chyba troszkę przewrotną naturę. Czasem przeważa u mnie element, powiedziałbym bardzo racjonalny, nieufny i żartobliwie powiem, że np. przez jedną czwartą doby, czy dnia potrafię być agnostykiem. Wychowałem się w rodzinie katolickiej. Od dzieciństwa interesowała mnie sztuka, która ma bazę w religii, szczególnie sztuka średniowiecza, malarstwo z okresu średniowiecza, wczesnego renesansu, to są moje fascynacje. Grunewald, czy Memling, słynny tryptyk. Jestem gdańszczaninem. Urodziłem się i wychowałem tutaj naprzeciwko Muzeum Narodowego Oddział Sztuki Dawnej, po drugiej stronie torów. Dostałem kiedyś w dzieciństwie taki katechizm, gdzie są piękne ryciny (w tej chwili nie zacytuje autora, bo mogę pomylić, prawdopodobnie jest to gdzieś XVIII wiek) ilustrujące Stary Testament, które mnie zainspirowały w dojrzałej twórczości. Gdzieś tam to zostało zakodowane. Ale wracając do tego szczęsnego, czy nieszczęsnego wpisu na racjonalista.pl, to powiem tak: w przypływie ciekawości i powiedział bym niefrasobliwości zarejestrowałem się tam i automatycznie zostałem umieszczony. Oczywiście stwierdziłem, że jestem w grupie agnostyków, nie ateistów, bo ateistą absolutnie nie jestem. Rozgraniczylibym te dwie opcje. Agnostycyzm zakłada sytuację ambiwalentną i otwartą. Jeśli chodzi o Boga to wierzę w sferę ducha, może być to bardzo uniwersalne. Mimo, że jestem wychowany w kulturze katolickiej, jestem zdecydowanie zwolennikiem uniwersalnego i synkretycznego myślenia o religii. Uważam, że nie ma religii ważniejszych, nie jestem walecznym chrześcijaninem, który uważa, że tylko religia chrześcijańska jest najważniejsza i ona jest jedynie słuszną. Nie, po prostu myślę, że jako osoba rozumna i jako artysta otwarty powinienem nawet obligatoryjnie przyjąć, że inne religie, inne kultury mają taką samą wartość..

Łukasz Ratajczyk: Co Pan myśli o religijnych korzeniach sztuki europejskiej?

Krzysztof Polkowski: Nawet gdyby znaleźć tutaj pewne negatywy, to jeśli chodzi o poziom sztuki, myślę, że bez mecenatu Kościoła Katolickiego nie mieli byśmy tak rewelacyjnego rozwoju, chociaż by malarstwa. Nie chodzi tutaj tylko o mecenat, ale o to, że bazuje ono na temacie religijnym.

Zamykając swoją habilitację powiedziałem, że tak naprawdę każdy prawdziwy artysta jest po trosze heretykiem i to bym podtrzymał. Jak spojrzeć na większość dzieł sztuki zarówno jeżeli chodzi o malarstwo, rzeźbę, architekturę, to one tak naprawdę nie były spolegliwe teologii, czy ortodoksji katolickiej czy Kościoła, tylko po prostu artyści zawsze myśleli po swojemu i gdzieś tam potrafili to, że tak powiem, dobrze sprzedać swojemu sponsorowi, czy zleceniodawcy. Natomiast często nijak się to ma do prawd wiary, czy zasad teologii... Oczywiście twórczość wynika niejednokrotnie z głębokiej wiary. W momencie, kiedy oglądamy np. dzieła Grunewalda to one są rzeczywiście wstrząsające, ale myślę, że to skutek głębokiego przeżycia, nawet użyłbym określenia humanizmu. Nie powiedziałbym, że jestem artystą religijnym. Myślę, że właśnie wolałbym być kojarzony z artystą, który gdzieś być może dyskutuje z problemami religijnymi, czy używa symboliki i ikonografii religijnej, natomiast absolutnie programowo nie uprawiam sztuki religijnej. Tą sztukę często się określa: „sztuka kościelna”, „sztuka religijna”. Sztukę, która jest inspirowana religią, też należy rozróżniać i myślę, że te najbardziej wartościowe dzieła tak naprawdę są często tylko w sferze inspiracji. Te programowo robione, np. przez artystów, którzy są namaszczeni przez Kościół, nie zawsze są wartościowe.

Łukasz Ratajczyk: Czy nie uważa Pan, że współcześnie świat sztuki jest zdominowany przez sztukę ateistyczną, nie ma zachowanej proporcji?

Krzysztof Polkowski: Wydaje mi się, że te proporcje wynikają generalnie z tego co jest poza sztuką. Nastąpiło moim zdaniem spłyconie sfery duchowości. Może pokusiłbym się nawet określić to jako odwrót od duchowości. Konsumowanie dóbr naturalnych w taki, powiedziałbym, hedonistyczny, nie dający głębi przemyśleń, sposób. Moim zdaniem oczywiście sztuka może być lajtowa, może być zabawowa. Szczególnie w końcówce lat 90. była taka opcja, że sztuka młodych wcale nie musi być poważna, wcale nie musi być głęboka, że ona powinna po prostu bawić i cieszyć. Ja nie mam nic przeciwko temu, żeby ona bawiła i cieszyła, ale ona powinna być mądra. Natomiast, owszem, zgodzę się z tym, że ta sztuka powinna być aktualna dla danego pokolenia, które ją uprawia. Ostatnio po przeglądzie semestralnym jak tak przeszedłem się po pracowniach, to z przyjemnością zauważyłem prace, które odzwierciedlają prawdziwy wiek tych studentów. Powiem, o co mi chodzi. Kiedyś jeden z moich profesorów – Bogdan Borowski, przeprowadził taką genialną, moim zdaniem, korektę. Na pierwszym roku koledzy i koleżanki pokazywali rysunki. Zapytał kolegi, „A ile ty masz lat?” „No mam 20, 21.” „A wiesz, jak bym nie zweryfikował Ciebie

w tej chwili i nie wiedziałbym, że to jest Twój rysunek, powiedziałbym, że to jest rysunek 80 – letniego starca”. Student się zachnął, mówi: „Ale to przecież jestem ja!”. „No tak, ale rysujesz jak starzec, albo jak emeryt. Dla mnie nie ma tu tej energii, która powinna wynikać z tego, ile masz lat. Nie chodzi o to, że jesteś bardziej, czy mniej ekspresyjny, ale chodzi o to, żeby tu była ta energia, faktyczna energia. Przecież ty w wieku lat 20 nie możesz mieć doświadczeń, czy zmęczenia starego człowieka.” Powiem, że mi to głęboko gdzieś w pamięć zapadło.

Lukasz Ratajczyk: Jak bardzo istotne są dla Pana kwestie estetyczne w sztuce?

Krzysztof Polkowski: Myślę, że wewnętrzna ekspresja jest chyba pierwszą motywacją, żeby zacząć uprawiać twórczość. Na początku, jak zaczynałem to robić, to oczywiście ona w moim przypadku wynikała z fascynacji właśnie tym, co widziałem - sztuką, którą widziałem w muzeach i w kościołach. Nie zgadzam się tutaj z bardzo radykalnym poglądem Artura Żmijewskiego (znakomitego zresztą współczesnego polskiego artysty, którego cenię za jego filmy, za to, co realizuje w sztuce), że tak naprawdę wartość estetyczna jest złem, dlatego, że ona jest z założenia elitarna, że nie dociera do szerszego gremium i jest taka antyspołeczna. Zakłada się, że 80, czy 90% społeczeństwa, czy nawet więcej, jest „kaleka” pod tym względem, i nigdy nie zrozumie wartości estetycznej.

Lukasz Ratajczyk: Taki pogląd wydaje się być dość zabójczy dla sztuki.

Krzysztof Polkowski: Jest to bardzo radykalny pogląd, dlatego go zacytowałem. Żmijewski po prostu twierdzi, że zła estetycznie sztuka ma dla niego większą wartość, bo ona po prostu jest aprobowana przez tego najmniej wyedukowanego widza. A on nie chce być elitarny. Sztuka ma zmieniać świat, sztuka ma być rewolucyjna, walcząca. Jednak myślę, że w głębi każdego artysty jest to myślenie o formie... Istotną kwestią jest, jaka jest proporcja tej formy do treści. Uważam na przykład, że sama motywacja estetyczna jest tak samo uprawniona i wystarczająca do uprawiania twórczości. Mam tu na myśli samą radość tworzenia formy estetycznej, która w ogóle nie musi mieć żadnego głębszego podkładu idei pozaformalnej. Tu może bym też rzucił nazwisko Leona Tarasewicza. Jest to taka, powiedziałbym, najbardziej atawistyczna przyjemność „grzebania się” w materii malarskiej i w farbie, tworzenia form, które po prostu tworzą pewną harmonię estetyczną i dają nam przyjemność i radość. I to jest wystarczająca motywacja. Są tacy artyści. Są artyści, dla których idea, przekaz jest głównym powodem. Chyba źle jest, kiedy ten przekaz ma niedomagania w postaci formy, czyli po prostu jest przewaga przekazu nad formą. Oczywiście nie powiem tu nic odkrywczego, że takim jak gdyby ideałem jest zharmonizowanie formy z treścią, które świadomie,

czy nie świadomie artysta chce przekazać.

Łukasz Ratajczyk: Wydaje się, że jest Pan otwarty na przeróżne poglądy. Gdzie w tym wszystkim określi by Pan sztukę banalną? Co jest banałem w sztuce?

Krzysztof Polkowski: Ja myślę, że banal jest wtedy, gdy traktuje się sztukę po prostu instrumentalnie, że ta sztuka banalna to jest taka, która jest z taką perfekcyjną perfidią gdzieś tam sączona odbiorcy, prawda? Nie przełożyłbym tego bezpośrednio, że to musi być sztuka komercyjna. Wiemy oczywiście, że jak na sztuce trzeba zarobić pieniądze, to artysta po prostu zastosuje wszystkie środki. Wydaje mi się, że tu też jest pewien niebezpieczny element. Jeżeli sztuka wchodzi w ten obszar rynkowy, który jest bezwzględny, bo tam istnieją wilcze zasady popytu, podaży i pewnych posunięć, które nie do końca są etyczne i moralne, to artysta, nawet uprawiający sztukę wysoką, może ulec niebezpieczeństwu pewnego prostytuowania się. Nie mówię o tym, że będzie robił jakąś fuchę, bo do tego ma prawo, ale pójdzie tak jak gdyby „miętko”... Wie, że sztuka wysoka, ambitna nie znajdzie tak szybko potencjalnego odbiorcy, jak to, co właśnie będzie wychodziło naprzeciw niezbyt wygórowanym gustom. Ja tu akurat wprost wbrew temu, co powiedział Żmijewski uważam, że należy dążyć do szerokiej edukacji społeczeństwa i zarażaniu tą sztuką wysoką, czy walorami estetycznymi jak największe kręgi społeczeństwa. Jest to działanie szlachetne i uzasadnione dla artysty, świadomego takiej właśnie roli sztuki.

Karolina Walczak: Chciałabym nawiązać do katalogu „Ślady przemiany” wydanego z okazji Pańskiej habilitacji. Jak go przeglądam, odnoszę wrażenie, że te pierwsze obrazy z lat 80., 90. są bardzo gwałtowne, ekspresyjne, a potem następuje wyciszenie, prace zdają się być bardziej oszczędne w formie, chłodne, dla mnie bardziej zdystansowane. Czy uważa Pan za naturalne, że im artysta jest starszy, tym większy ma dystans do życia i odbija się to w jego twórczości?

Krzysztof Polkowski: Powiem tak: u mnie coś takiego nastąpiło, natomiast uważam, że to nie jest bezpośrednio związane z metryką. Jeżeli chodzi o tą przemianę, myślę, że ona wynika z pewnych doświadczeń, może nie tyle z pewnej cezury czasowej, raczej z konkretnych przeżyć. W latach 80. byłem doświadczony życiowo dosyć mocno, pewne traumy w związku z tym przeżywałem i myślę, że to się nałożyło na moje poszukiwania artystyczne. Akurat w tym czasie, jeśli chodzi o Europę zachodnią, to dosyć mocno rozwijało się tam „dzikie” malarstwo. Taki rodzaj ekspresji, pewnej swobody gestu i szorstkości w tym malarstwie bardzo mi odpowiada. Jednak myślę, że gdyby tak dosyć mocno przeanalizować to, co ja wtedy robiłem, to mimo wszystko było to w jakiś sposób przeze mnie, użyję określenia, „estetyzowane”. Ja nigdy nie byłem do końca dziki, nie byłem aż

taki swobodny, zawsze się powściągałem. Uwielbiam technikę olejną, którą łączyłem z techniką akrylową. Uczuliłem się na terpentynę, więc walczyłem...to w zasadzie skończyło się porażką i już w ogóle nie mogę pracować w technice olejnej. To spowodowało, że zacząłem szukać form alternatywnych i zacząłem używać więcej akrylu. Podjąłem moim zdaniem próbę znalezienia innej formy, być może bardziej spokojnej, bardziej przemyślanej. Był również strach przed czymś, co po prostu nazwę wprost - „manierą”. W zasadzie jest to wręcz truizmem, że jak się przeanalizuje twórczość wielu artystów, to często następuje apogeum, kiedy ta twórczość jest na najwyższym poziomie, a później jest już tworzenie w cudzysłowie „kopii”, „kalek” tego, co się już zrobiło. Oczywiście robi się to sprawnie, bardzo atrakcyjnie, estetycznie, ma się ciągle swoich odbiorców, fanów, wszyscy tego oczekują, jesteśmy rozpoznawalni, natomiast obrazy tracą swoją energię, nie są już tak genialne. Myślę, że jako człowiek refleksyjny, bo za takiego się uważam, bałem się takiego momentu i zacząłem zauważać w niektórych swoich pracach, które próbowały cały czas nawiązywać do bardziej ekspresyjnych, że przestają być w tym szczere. Ja nawet dalej sprawnie potrafię namalować taki obraz, ale to jest pewne oszustwo, bo nie robię tego z tymi doświadczeniami, z tymi przeżyciami, które były dla mnie naturalne np. 20 lat temu. Jestem inny i wydaje mi się, że istotą jest, żeby po prostu artysta był szczery. Mój znakomity promotor – Kazimierz „Kachu” Ostrowski zawsze powtarzał, że artysta powinien iść, no może to tak lirycznie zabrzmieć, za głosem serca. Być czujny na własną intuicję i zawsze robić to, na co ma ochotę. Nie mieć żadnych oporów. Myślę, że taką postawę próbujemy „sprzedać” studentom w pracowni Henryka Cześnika. Tak samo myśli mój przyjaciel – profesor i tak samo myślę ja, że ta szczerość jest istotna. Twórczość zawsze wybroni szczerość.

Łukasz Ratajczyk: W jaki sposób wpłynęła na Pana twórczość Hugona Laseckiego?

Krzysztof Polkowski: Myślę, że w jakiś znaczący sposób. W pewnych swoich pracach widzę zdecydowaną inspirację twórczością Hugona. Zresztą nie tylko Hugona, i Kiejstuta Bereźnickiego. Byłem uczniem „Kacha Ostrowskiego”, ten krąg myślenia o malarstwie był mi bliski. Myślę, że prace na pewnym etapie były, nie użyłbym określenia kompilacją, ale na pewno te inspiracje w sobie zawierały. Wiadomo, że każdy artysta stara się być oryginalny, natomiast myślę, że twórczość Laseckiego jest tak uwodząca, tak mocna i znacząca dla całego naszego środowiska, że nawet, gdybym z niej czerpał więcej, to bym się tego nie wstydził. W ogóle błędne jest myślenie artysty, szczególnie młodego, żeby na siłę stać się oryginalnym. To jest tak na prawdę podstawowe nieporozumienie, w ogóle się o tym nie powinno myśleć. Mądra zasada mówi, że albo ta oryginalność się pojawi, oczywiście ona może się pojawić bardzo późno, albo też nigdy się nie pojawi, czyli nie zawsze jesteśmy na tyle określonymi i zdecydowanymi artystami, że nie będziemy

się posiłkowali jakimiś tam „inspiracjami”, czy miłościami artystycznymi. Są artyści, którzy są całkowicie zamknięci na siebie, tacy, powiedziałbym, autystyczni. Potrafią się zamknąć w pracowni i zamknąć na otoczenie, nic nie oglądać, być zakochanymi w tym, co robią i często są naprawdę w stanie dokonać po prostu cudów. Ja absolutnie do takich twórców nie należę. Należę do artystów, którzy są otwarci na inne inspiracje, nawet na twórczość studentów. Uważam, że jedną z zalet pracy na uczelni jest to, że cały czas się zderzam z innym punktem widzenia, muszę się jakoś do niego ustosunkować w pewien sposób, ewentualnie polemizować z nim. Często widzę znakomite pomysły u młodych ludzi. One stanowią dla mnie niezwykle doping.

Karolina Walczak: Czyli kontakt ze studentem jest dla Pana wartościowy?

Krzysztof Polkowski: Tak, do tego stopnia, że największy szacunek i rezerwę mam do opinii studentów, których uczę. To jest coś takiego, że dydaktyk, czy pedagog sprzedaje pewne wartości. Uważam, że artysta uczący nie musi być genialny, może być czasem tylko trenerem i przeciętnym artystą, ale może być znakomitym artystą - trenerem, który zbuduje artystę lepszego od siebie i to jest w ogóle ideał. Nie mam zawiści, zazdrości, kiedy widzę na przykład genialną pracę studenta, która z mojego subiektywnego punktu widzenia jest dużo lepsza od mojej pracy. To jest tylko sama przyjemność. Uważam, że nikt nie ma patentu na genialność. Kontakt ze studentem i praca na uczelni powoduje, że my - artyści dydaktycy, czy pedagodzy, musimy trzymać formę i czy chcemy, czy nie chcemy nie możemy, że tak powiem, zapuścić się, gdzieś tam chodzić w piżamie po domu. Poza tym część swojej energii twórczej, czy wręcz fizycznej angażujemy w dydaktykę, więc myślę, że dużo większy komfort ma artysta, który jest całkowicie niezależny, który nie jest związany z nauczaniem, on robi tylko dla siebie i ma wszystko w nosie. Natomiast ja bym tego nie zamienił, ja zawsze lubię uczyć.

Karolina Walczak: Pan jako dojrzały twórca, ze swoim własnym ukształtowanym językiem, obserwuje w pracowni, jak kształtuje się język studentów. Czy można jakoś pomóc w tym procesie? I na ile trzeba być biernym obserwatorem i zaufać studentowi, że on sam sobie z tym poradzi, a na ile można ingerować w ten proces?

Krzysztof Polkowski: Tak, to jest fascynujące, ale z drugiej strony bardzo trudne zagadnienie. Na wstępie powiem, że miałem świetnych nauczycieli, bo dla mnie takim wzorem wręcz był mój promotor – Kazimierz „Kachu” Ostrowski, który mówił niewiele, i dawał sporą wolność studentowi. Czasami gdzieś tam dłużej popatrzył na obraz, był bardzo powściągliwy i lakoniczny w wypowiedziach, przyglądał się. No czasami złażał, na przykład mówił, że warto było posiedzieć nad

pewnym zagadnieniem. Ale generalnie traktował studenta z dużą ufnością. Myślę, że podobną postawę reprezentuję ja i mój przyjaciel Henryk Cześniak. Przede wszystkim jest taka podstawowa zasada: chcemy, żeby nas traktowano poważnie i my też z całą powagą podchodzimy do młodego człowieka, do młodego twórcy, który ma mniejsze doświadczenie. Podkreślam ten element doświadczenia, dlatego, że student ma w nas oparcie. Jeżeli on będzie miał jakiś dołek psychiczny, czy dołek twórczy, to my tym swoim doświadczeniem możemy go wesprzeć i powiedzieć, że to jest coś całkowicie normalnego, że czasami, jeden semestr jest w ogóle przegrany... przykładowo zakochałeś się czy zakochałaś się, i po prostu, jesteś całkowicie na innej „orbicie” i nie zawsze się to przełoży na twórczość. Myślę, że im jestem starszy, im dłużej pracuję, tym większe mam opory, żeby mówić za dużo, gdzieś zdecydowanie nakierowywać. Może być tak, że zaszczepię coś, co nie do końca będzie zgodne z osobowością studenta. Wydaje mi się, że błędem niektórych młodych osób jest taka negatywna skromność. Z jednej strony są oczywiście osoby zbyt pewne siebie, które uważają, że są już genialne. Z drugiej strony jest taka duża, powiedziałbym, nieśmiałość, czy niepewność własnych ruchów, czy po prostu niedowierzanie własnemu talentowi. Uważam, że tu należy wyśrodkować. Przede wszystkim mówię, że żeby zrobić coś... użyję określenia - genialnego, to trzeba w to uwierzyć, w cudzysłowie, że jest się tym „pomazańcem”, że się ma tą „iskrę bożą”. Jeżeli się ją faktycznie posiada i jeżeli jest się człowiekiem refleksyjnym, inteligentnym, to jest na prawdę duża szansa, że się osiągnie wyżyny sztuki. Natomiast człowiek, który z góry jest bardzo skromny w tym takim niedobrym znaczeniu i ciągle patrzy na innych, że oni są tak świetni, a on tylko przeciętny, niewiele zdziała... Czasami mam takie wrażenie, że niektórzy studenci zakładają, że będą grali w trzeciej lidze, prawda? Myślę, że oni dopóty nigdy sięgną pewnych wyżyn, dopóki ich konstrukcja psychiczna, czy mentalna nie zostanie zweryfikowana.

Karolina Walczak: Czy uważa Pan, że nasza Akademia stwarza studentom optymalne warunki do studiowania? Czy zauważa Pan jakieś problemy w funkcjonowaniu uczelni? Może należałoby coś zmienić?

Krzysztof Polkowski: Nie wiem, nigdy się nad tym szczególnie nie zastanawiałem. Myślę, że zbyt mała ilość studentów, wręcz powiedziałbym znikoma, korzysta z ciągle obowiązującego w regulaminie studiów systemu indywidualnego toku studiów. Uważam, że uczelnia jest przede wszystkim dla studentów, a my jako dydaktycy, nauczyciele akademicki nie jesteśmy podmiotem... To Wy jesteście podmiotem, a my mamy Wam pomóc w tym systemie edukacji. Twierdzę, że spektrum pracowni dyplomowych na naszej uczelni, bo jest ich pięć, jest na tyle duże i szerokie, że każdy ma możliwość wybrania sobie odpowiedniej opcji, ewentualnie ma możliwość

przeniesienia się, jeśli zmieni zdanie. W czasie, gdy są przeglądy semestralne, studenci próbują sobie ukuć opinię na temat pracowni na podstawie prac, które tam widzą. Myślę, że jest to wbrew pozorom błąd. Twierdząc, wypowiadając się już tu stricte za siebie, nie za profesora Cześnika, że nasza pracownia jest taka, jacy są studenci. W momencie, kiedy przyjdzie dwóch, trzech studentów, którzy będą chcieli uprawiać sztukę np. postkonceptualną, a będą po prostu pełni energii, będą w tych poszukiwaniach szczerzy, to my ich zaakceptujemy, i być może nastąpi przewaga tego rodzaju prac w pracowni, co później będzie widoczne na wystawie. Często w historii naszej pracowni te opcje się zmieniały. Mieliliśmy wystawy, gdzie było dużo gestu, dużo ekspresji... i oczywiście powiem, że te prace sprawiają nam dużo przyjemności, zarówno mnie, jak i Cześnikowi, bo to jest twórczość nam bliska, ale były też prace bazujące np. na fotorealizmie. One wszystkie były akceptowane i każdy student był dla nas tak samo wartościowy. Wydaje mi się, że studenci powinni obserwować poszczególne pracownie i starać się wyciągać właściwe wnioski a nie dostrzegać pozory, powinni wręcz rozmawiać bezpośrednio z prowadzącymi. Przecież nie ma takiego problemu, bo każdy jest dostępny i można z nim w każdej chwili porozmawiać.

Łukasz Ratajczyk: Co Pan sądzi o malowaniu z rzutnika?

Karolina Walczak: To budzi wielkie emocje wśród studentów.

Krzysztof Polkowski: Rzeczywiście jest to problem, ale może i nie problem. Nie jest dobrze, jak wszyscy bezmyślnie z tego korzystają. Użyję określenia „bezmyślnie”, bo może nie zdają sobie sprawy, że jeżeli chcą skorzystać z wartości ciała ludzkiego, to taka „proteza”, jaką jest zdjęcie może być nieprzydatna. Obserwacja tego ciała w zmiennym oświetleniu jest nie do przecenienia... Każdy rozumny człowiek wie, że fotografia jest tylko fantomem, czy kalką tego, co już jest w rzeczywistości, prawda? Więc to naoczne śledzenie jest nie do przecenienia, natomiast moim zdaniem korzystanie z rzutnika, czy zdjęć nie powinno wynikać z ułatwienia, czy też dlatego, że my po prostu coś chcemy szybko zrobić. Powinno być użyte z pełną świadomością konkretnych mediów. W pełni świadomie budujemy obraz, korzystając oczywiście z poszerzonej technologii, którą daje nam współczesny świat i nie powinniśmy się na to zżymać. Natomiast, jeżeli młody student, często już na pierwszych latach, zbyt łatwo rezygnuje z obserwacji natury, chcąc malować np. figurację, człowieka, a korzysta z tej fotograficznej protezy, wydawać się to może troszkę niefrasobliwe. Efekty są różne, widzimy je na obrazach. Myślę, że komuś zdolnemu, kto po prostu ma dużą łatwość i sprawność rysowania fotografia nie zaszkodzi. Znowu temu, kto posiada mniejszą sprawność, fotografia może pomóc, ale też może nie pozwolić rozwinąć takich możliwości, jakie da mu umiejętność korzystania bezpośrednio z natury. Myślę, że dla malarza

kontakt z narzędziem, taki bezpośredni jest bardzo ważny. Powiem tak: dla mnie cyfrowy obraz, mimo że też go gdzieś tam proponuję w swojej twórczości, w postaci zdjęcia, czy projekcji, nigdy nie będzie się równał z materią np. malarską, taką dosłownie namacalną. Ja tego dotykam, ja z tym płótnem przebywam. Mam wrażenie, że z obrazów emanuje pewna wartość energetyczna, czy duchowa, która raczej nie ma szans emanowania z projekcji, czy ze zdjęcia cyfrowego. Chociaż ono może być również atrakcyjne wizualnie, czy estetyczne, czy też proponować wartościową ideę. Nie do końca jestem przekonany, że nowe media są w stanie zastąpić malarstwo. „Analogowe” malarstwo jest moim zdaniem niezniszczalne a chętnych do malowania, „brudzenia” się olejną farbą zawsze będzie wielu.